

Odgrzebywanie Pabianic

Przemysław Owczarek: „Kości, które nosisz w kieszeni”, debiut prozatorski, za który otrzymałeś w styczniu Paszport „Polityki”, wpłynął już wartko w obieg krytyczny. Jak oceniasz różne reakcje na swój realnie fantazmatyczny portret klasy ludowej Pabianic – jednego z najbiedniejszych średnich miast w Polsce?

Łukasz Barys: Rzeczywiście książkę przeczytało sporo osób, szczególnie ostatnio, po nagrodzie. Trochę mnie to stresuje. To książka eksperymentalna. Śmiała, jeśli chodzi o formę i zawartość ideową, więc nie do wszystkich trafia. Teraz pojawiło się trochę recenzji. Nie wszystkie są pozytywne i chyba czasami wynikają z niewczytania się albo niechęci do mojej osoby czy do tematu, czy w ogóle do takiego sposobu pisania. Było kilka bardzo pozytywnych recenzji najpopularniejszych blogerów, dziennikarzy, i ruszyła sprzedaż. Jest też jakiś ruch na portalach książkowych, ludzie często piszą bardzo miłe rzeczy o moim pisaniu. Cieszę się i jednocześnie jestem oszołomiony.

Zatem spotkałeś się także z negatywnymi ocenami. A co takich recenzentów najbardziej razi w twojej książce?

Jeden pan napisał, że poeta się zabrał za pisanie powieści i chciał w ten sposób dołączyć do elitarnego grona pisarzy. A poeci nie powinni pisać prozy, bo za bardzo się skupiają na języku. To trochę absurdalne, przecież każda książka jest napisana za pomocą języka. Od innej recenzentki dowiedziałem się, że źle opisałem włókniarki. Przecież były bardzo szczęśliwe, że mogły pracować w fabrykach, bo wreszcie miały pieniądze. I ta moja wizja wyzysku jest bardzo niepokojąca i niebezpieczna, i to bardzo niedobrze, że młodzież tak widzi przeszłość.

Jestem ciekaw, czy ta neo-liberałka wie, jaką cenę zdrowia płaciło się za pracę w fabrykach, i że takich kosztów raczej nie zwracano?

Właściwie o tym autorka recenzji nie wspomniała. Ale jeśli chodzi o czytelników z Pabianic i nie tylko z Pabianic, to większość głosów jest raczej pozytywna. Czasami ludzie piszą do mnie wiadomości, maile z podziękowaniami. Jest dużo pochwał na Instagramie. Choć oczywiście są też takie opinie, które mnie trochę boją. Książka jest łatwa w czytaniu, a jednocześnie zaskakująca, jeśli chodzi o rozwiązania formalne. Jeśli ktoś się spodziewa, że to będzie rasowa powieść (a tak ją przedstawiamy na okładce wspólnie z wydawcą), to też może być troszkę zawiedziony.

Powieść operowałaby szerszą perspektywą. Raczej nowela, powiedzmy dość gruba...

Ale nikt dziś nie kupi noweli! To kojarzy się z lekturami szkolnymi.

Wróćmy do głosów pabianiczian. Czujesz się już godnym synem swojego miasta?

Pabianiczian jest z sześćdziesiąt tysięcy. Moją książkę przeczytało w Polsce może sześć tysięcy osób – w Pabianicach jakieś dwieście, trzysta osób maksymalnie. Nie jestem rozpoznawany na ulicy, ale rzeczywiście media lokalne się mną karmią. Ilekroć wrzucę coś na Facebook, przekleją to. Ostatnio przeczytałem w „Nowym Życiu Pabianic”, że zainkasowałem sporą sumkę za Paszport Polityki...

„Nowe Życie Pabianic” powinno ci zapłacić za reklamę, bo kilkanaście razy używasz ich tytułu w książce.

Ale i tak jestem im wdzięczny, że się nie obrazili – „Nowe Życie Pabianic” to u mnie raczej synonim najtańszej rozrywki, na szczęście nie zwrócili uwagi na swój wizerunek w mojej książce albo nie przywiązali do tego wagi. No i właśnie w „Nowym Życiu Pabianic” przeczytałem fascynującą historię o Kafce i Dorze. Dlatego jestem dziennikarzom z „NŻP” wdzięczny.

Ale dzięki tobie można się dowiedzieć, że klasa ludowa rzeczywiście w Polsce istnieje i ma w Pabianicach swoją gazetę. To jest książka o dość biednym mieście. A twój głos, diagnozujący rzeczywistość, zasługuje na uwagę głównie dzięki oryginalnemu użyciu figury kości – od kości wygrzebanych przez dzieci, po sceny cmentarne. Sięgasz po stare topoty. Zatem to jest wejście w zaświat minionej dekady. Ale klasa pracująca nadal istnieje, jeździ tramwajami o piątej rano, dlatego jej nie widać.

To się dało wychwycić w sytuacji covidowej, kiedy media głosiły, że teraz mamy czas, żeby czytać książki i zajmować się tym, na co wcześniej nie mieliśmy czasu. A przecież ogromna większość Polaków nadal chodziła do pracy, często nawet z podejrzeniami choroby, tak na przykład działo się w Amazonie. Zwykli, pracujący ludzie często nie mają swojej reprezentacji w mediach, nie identyfikują się jako ta „klasa pracująca”, myślą o sobie w inny sposób. W „Kościach” ofiarą takiego tragicznego nieporozumienia jest Pawełek, który karmi się cytatami motywacyjnymi domorosłych coachów, ponieważ chce zarobić wielkie pieniądze, chociaż tak naprawdę nie ma na to szans.

Pabianice to jednak miasto dwóch klas: robotników i burżuazji. O dawnej burżuazji pabianickiej sporo się dowiemy z twojej książki, ale obrazy tej dzisiejszej też się pojawiają. Pokazujesz podziały społeczne.

W Pabianicach są ludzie bogatsi, ale większość mieszkańców pracuje w zakładach, na budowach, w urzędach. Te podziały społeczne są wciąż widoczne, na przykład na linii pracownicy – pracodawcy. Oczywiście dziś nie są tak ostre jak w przeszłości. Ale są obecne i chciałem tę obecność w książce zaznaczyć. Chciałem na nowo zinterpretować rzeczywistość, postarać się wydobyć dawne podziały i wskazać, jak one dziś wyglądają. Czasami nie chce się o nich mówić, bo kojarzy się to z nieeleganckim zachowaniem, roszczeniowością. Wciąż mamy tu włókiennicze powidoki, bo istnieje mnóstwo szwalni i hurtowni tkanin.

Za chwilę możemy mieć mnóstwo młodych szwaczek, uchodźczyń z Ukrainy.

Jest o tym wzmianka w książce, kiedy babcia widzi ogłoszenie po ukraińsku. Mnóstwo mamy takich anonsów w Pabianicach. W książce tego za bardzo nie widać, ale kiedyś napisałem o tym opowiadanie na konkurs.

No właśnie, Rafałowi Gawinowi z Domu Literatury przyznałeś się, że twoja książka pierwotnie była zbiorem opowiadań.

Najpierw były to zapiski z dorastania w Pabianicach, bez tej metafizycznej „kościastej” strony. Bez pomysłów, które wskazują na bardziej uniwersalny charakter historii. Miasto nie pojawiało się z nazwy. Na początku była to dość drastyczna i realistyczna historia dorastania dziewczyny, skupiona na przemocy. Potem to jednak przemyślałem i sporo wyrzuciłem. Powstała jakaś wizja. Następnie zacząłem myśleć o strukturze książki: o tym, co nad ziemią, a co pod. Planowałem rozdziały, kolejne topoty i motywy. Rozdział ze szpitalem i Minotaurem. Zawładnęło mną przestrzenne myślenie.

Bez niego nie udałooby się stworzyć spójnej konstrukcji. Wydaje mi się, że odpowiednie uprzedzienie opowiadań było zarazem pomysłem na ich zespolenie.

Cały czas zastanawiam się, co mógłbym tu jeszcze dodać. Zwykle gdy coś wydaję, to potem przychodzą mi jeszcze dobre pomysły do głowy. No i potem zastanawiam się, czy na pewno dobrze zrobiłem.

Ależ ja to z tobą przeżywałem, gdy pracowaliśmy nad redakcją twojego debiutu poetyckiego, jakim był tomik „Wysokie słońce”. Doskonale rozumiem tę obsesję poprawiania, której razem doświadczaliśmy.

W czerwcu ubiegłego roku dostałem od wydawcy zakaz poprawiania, bo „Kości...” przeszły już przez korektę. W lipcu książka poszła do krytyków i recenzentów, więc nie było tak elastycznie. Ale wracając do wątku tworzenia całości: myślenie przestrzenne było kluczowe. Również spojrzenie pod kątem „klasowym” było ważne. Polska poezja jest dziesięć lat do przodu względem prozy. Ta klasowość jest w polskiej literaturze od lat, ale raczej w wydaniu niszowej poezji, którą rzadko ktoś czyta. Przychodzi mi do głowy na przykład poezja Jana Rojewskiego (łódzianin z pochodzenia – przyp. P. Owczarek), tom „Ikonoklazm”. U niego chodziło raczej o spełniony awans społeczny. U mnie pojawia się ironia wobec tego awansu. Uli (bohaterce „Kości...” – przyp. P. Owczarek) jednak nie uda się uciec od własnego świata.

Przed którym pisarzem odczuwasz lęk z powodu silnego wpływu na twoją twórczość? Mistrzowie, z którymi się mierzysz w lekturze to...?

Wiele osób łączy mnie z Dorotą Masłowską. To wynika raczej z powinowactwa wieku, a nie ze szczególnych powiązań naszych sposobów pisania. Szczerze mówiąc, to porównanie wyzwala we mnie stres. Masłowska jest jednak legendą. Na pewno dużą inspiracją dla mojej książki były utwory przełożonych niedawno Francuzów: Eduarda Louisa „Koniec z Eddym” i Didiera Eribona „Powrót do Reims”. Choć odrobinę irytowało mnie, że są to książki dla humanistów o ludziach, którzy pochodzą z małych miast czy wsi, ale wyrwali się stamtąd, zostali humanistami i intelektualistami. Musieli się też zmagać z klasowym wstydem. Ścierali się z ludźmi, którzy mają obrobiony kulturowy background. Chciałem napisać coś innego. Chciałem, żeby Ula była humanistką, ale nie chciałem, żeby szła na uczelnię i powieliała wzór zawarty w tych francuskich książkach. Wróć jeszcze do porównań z Masłowską – sporo ludzi po prostu kojarzy taką prozę skupioną na języku z Masłowską.

Wydaje mi się, że twój sposób pracy z językiem jest inny. Jest bardziej pokrewny Schulzowi, na zasadzie znaczeń, konotacji, symboliki, obrazu poetyckiego.

Czytelnicy tego nie zauważają – na przykład gdy porównuje się mnie do Masłowskiej, pojawiają się zarzuty, że ja źle imituję język nastolatki. Że moi bohaterowie nie mówią realistycznie, bo nastolatka nie może mieć takich przemyśleń. I tu chyba mamy jednak do czynienia z uprzedzeniami, bo mnie się wydaje, że wiele znajomych mi nastolatek ma głębokie, bardzo mądre przemyślenia na temat świata. Swoje robi też Internet, kontakt z rówieśnikami z całej Polski. Jeśli chodzi o takie pisanie spod znaku Masłowskiej, to porównałbym do niej raczej Igora Jarka z jego „Halnym”.

Igor Jarek to też poeta. Masz z nim wiele wspólnego, bo jedno z pierwszych wierszy drukował, podobnie jak ty, w łódzkich „Arteriach”.

Książka Igora bardzo mi się podobała. Ale mnie nie zależało na tym, żeby Ula funkcjonowała w języku realistycznym. Nie do końca lubię tak pisać. Chociaż nie przeszkadzają mi takie książki. Ale Ula to ktoś inny; nie dziecko, bo musiała wcześniej dorosnąć, nie dorosła, bo zawsze pozostanie dzieckiem. Ula to taka trochę niesamowita istota, która łączy w sobie nie tylko życie i śmierć, ale i różnorakie języki, sposoby mówienia, struktury. Ula ma klucz do świata, w zwierzętach widzi ludzi, w nutach chłopki, we włókniarkach własną matkę, w spalaniu zdjęcia chłopaka, w którym się

kocha – inne śmierci w ogniu. Jeszcze raz to powtórzę: Ula jest prawdziwą dziewczynką i jednocześnie nią nie jest. Paradoksalnie sędzę, że to dość realistyczne.

Myślę, że u ciebie raczej chodzi o „parowanie rzeczywistości”, które układa się w różne wyobraźniowe kształty i powidoki. I to jest faktycznie robota poety destylującego obrazy w język. Flaubert napisał kiedyś: „Pani Bovary to ja”. Czy Urszula to pisarz Łukasz Barys?

Może trochę tak. Hmm, nawet w wielu miejscach. Zwłaszcza w stykach biograficznych, w malutkich historiach – obrazy z nutkami na przykład. To trudno byłoby wymyślić. Często znajdowałem ich kości na podwórku, na opłotkach Pabianic, gdzie zaczyna się zurbanizowana wieś. W wielu miejscach pokrywają się nasze z Ulą historie, ale też sposób odczuwania świata, myślenia czy stosunki rodzinne. Z drugiej strony te styki się rozmywają. W porównaniu do Uli ja pochodzę z rodziny uprzywilejowanej, nie miałem takiego hardcorowego dorastania. Ale Uli też za bardzo nie można ufać. Ona postrzega siebie przez społeczne wykluczenie, jako osobę, jakbyśmy to dosadnie określili, z patologii. Za tym idą też niektórzy recenzenci, że to jest książka o patologii.

Nie sędzę.

Przecież to w ogóle nie jest patologiczna rodzina. Może trochę w jakiś odsłonach. Dzisiaj słowo patologia często się pojawia w dyskursie publicznym i szybko się kogoś z tym słowem identyfikuje. Bohaterki książki może trochę się czują patologią, ale wcale nią nie są. Weźmy pracę w Biedronce na kasie. Pisząc tę książkę, korzystałem z wielu naszych społecznych przesądów typu, że praca w takiej sieci jest najgorszą robotą, a osoby tam pracujące są niemal gorszego sortu. Takie przesady niestety w nas, Polakach, siedzą.

Bywa, że na kasie są lepsze pensje niż w przypadku instruktorów w domach kultury, osób nieraz z dwoma fakultetami.

Taki humanistyczny prekariat to coś bardzo ciekawego, zwłaszcza jak się go obarcza zarzutami o klasizm. Często te zarzuty mijają się z prawdą. Humanista jest kulturowo uprzywilejowany, ale często zarabia najniższą krajową. Czy to kulturowe uprzywilejowanie w tym świecie ma jakąś wartość? Z drugiej strony trzeba podkreślić, że praca fizyczna, praca na kasie w Biedronce, to bardzo trudna, bardzo wymagająca psychicznie i fizycznie sprawa. Prawdopodobnie większość humanistów ma jednak nieco łatwiej.

Ciekawią mnie też figury kobiece i męskie w twojej prozie. Faceci przyjmują indywidualne rysy twarzy, ale lepieni z tego samego wosku, to jest wciąż ten sam materiał. Kobiety za to wydają się być silne, ale ponieważ mierzą się ze światem same, ciągle obrywają. A z drugiej strony mamy figurę nieobecnego ojca, bo pozbywasz się go nawet w mitycznej postaci papieża. W takiej chmurze światopoglądowej dobrze się odnajdujesz, taka literatura jest teraz modna.

Wiedziałem, że żart z papieżem to może być hit. Zdziwiłem się, że tego jeszcze nie było w literaturze.

Jest proza Piotra Czerskiego „Ojciec odchodzi”, napisana prześmiewczo wokół paroksyzmu śmierci JP II. Książkę wydał Ha art!, więc rozczaruję cię, nie jesteś tu prekursorem.

Muszę to przeczytać! Choć u mnie chodzi o coś innego, o tę memiczność papieża i całą jego internetową „popularność” wśród dzieci i młodzieży. Ale owszem, ów brak ojca rozciąga się nie tylko na tego ziemskiego, ale też na ojca w niebie. Ula widzi, że konserwatyzm nie sprawdza się w realnym świecie. W obrębie tego braku dochodzi jednak do przewartościowania świata. Ula odrzuca

wszystkich tatuśków, którzy są krótkotrwali, bo skupiają się na przetrwaniu zimy w pieleszach matki. A jednocześnie to tragiczne postacie, które wywołują trochę współczucia. Ale rzeczywiście figura ojca jest skompromitowana w książce. Moje rozczarowanie przelałem tu na Ulę.

W tłumaczeniu na język polski łacińska Urszula znaczy „niedźwiedziczka”. Zwierzę, które grzebie w ziemi, śpi w gawrze. Poniekąd należy do świata ziemnego, jeśli nie podziemnego. Nieświadomie trafiłeś z tym imieniem. Urszula wydaje się trochę z tej społecznej gawry wyłazić, czytając książki i idąc do liceum.

Jak Ursus w „Quo vadis”. Musiał mnie poprowadzić jakiś rodzaj nieświadomości. Bo tu rzeczywiście chodzi o grzebanie w ziemi, kopanie i drapanie, szukanie kości, przechodzenie między światami dość swobodne, prędkie, niezobowiązujące. Ula w tym świecie ludzi biednych, współczesnych upiórów, których nie chcemy na co dzień widzieć, wyrasta na postać może nie centralną, ale na spoiwo.

Artykuł pochodzi z „Kalejdoskopu” 03/22, którego temat brzmi „Strategie dla kultury”. Numer jest do kupienia w Łódzkim Domu Kultury, punktach Ruchu S.A., Kolportera, Garmond-Press i salonach empik. A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu):

https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-wojewodztwa-lodzkiego?fbclid=IwAR0CJwQi1fl7y-1av7GdZlwB82ZmKdxZmMSef9uNO1G6RKt-b4HEX_KIB8o

W wersji elektronicznej na [Virtualo.pl](https://virtualo.pl).

Możecie też słuchać naszych najlepszych tekstów w interpretacjach aktorów scen łódzkich związanych z Łodzią i regionem – na platformie „Kalejdoskop NaGłos”:

<https://soundcloud.com/kalejdoskopnaglos>